



Fragment powieści FRYNE HETERA

autorstwa Witolda Jabłońskiego

udostępniony na potrzeby LARPa „Sympozjon”,

który odbędzie się podczas

Ogólnopolskiego Zjazdu Miłośników Fantastyki U-Bot 2008 w Łodzi

www.u-bot.pl

Krwawy sympozjon

- Uciekaj!...

Od posągu Erosa oderwał się jego cień. Tanatos załopotał w komnacie czarnymi skrzydłami, które w tym wypadku przyjęły postać zniszczonej, ciemnoczerwonej opończy. Tygrysim skokiem dopadł zaskoczonej Myrriny i przyparł ją do ściany, dławiąc gardło lewą ręką. W prawej trzymał swój dobrze mi znany, krótki miecz.

- Stój spokojnie, ślicznotko – syknął przez zaciśnięte zęby. – Jeśli utnę ci głowę, nie będziesz już taka ładna – zagroził, podsuwając jej klingę przed wytrzeszczone w panice oczy.

Nie zdążyłam nawet drgnąć, kiedy z sieni wybiegli Muti i Tatah, uzbrojeni w motykę i łopatę. Zapewne sądzą, że niecodzienny gość krzywdzi ich panią i przybiegli na pomoc. Lizydas wyczuł to nieomylnym, wilczym instynktem. Ścisnął raz jeszcze krtań mojej przyjaciółki, która zacharczała krótko i zwiotczała pod jego ręką. Spartanin puścił ją, po czym rozprawił się błyskawicznie z niefortunnymi napastnikami. Muti runęła jak długa, ogłuszona ciosem głowicy rękojeści w sam środek czoła. Zamachowiec zręcznie uchylił się przed spadającą nań łopatą ogrodnika, po czym celnym kopniakiem w pierś odrzucił go od siebie. Tatah poleciał w moją stronę i przewrócił się, uderzając skronią o kant marmurowego blatu stolika. Ogrodnik legł ciężko na ziemi, wydając nieartykułowane jęki. Z rozbitej głowy sączyła się krew.

Zerwałam się z sofy i podbiegłam do padającej Myrriny. Podtrzymałam ją ramieniem i stwierdziłam z ulgą, że choć śmiertelnie wystraszona, jednak wciąż żyje. Łapała z trudem dech, cicho przy tym pojękując. Na jej pulchnej szyi wykwiwały sinawe pręgi od palców. Ułożyłam ją, jak mogłam najdelikatniej, na marmurowej posadzce, po czym doczołgałam się na czworakach do nieszczęsnego niewolnika. Z nim było znacznie gorzej. Pobladł straszliwie, oddychał coraz rzadziej, a oczy zachodziły mu już bielmem śmierci. Skonał po chwili. Poczułam się strasznie, jakbym właśnie straciła ojca. W pewnym sensie Tatah mi go zastępował, podczas gdy Muti przejęła po Omfale rolę najczulszej niani, a może nawet matki. Podniosłam załzawione oczy na mego okrutnego kochanka.

- Nie żyje – wyszeptalam.

Lizydas wzruszył ramionami, przyglądając się swemu dziełu obojętnym okiem kogoś, kto wykonał po prostu niezbędną robotę.

- Mógł nie wtykać nosa w nie swoje sprawy – odpowiedział zimno – i porywać się na mnie z łopatą. Durne chłopisko!... Całe szczęście, że należał do ciebie, gdyż w naszym kraju musiałbym za niego zapłacić. W Sparcie wszyscy niewolnicy są własnością państwa – poinformował zrównoważonym, rzeczowym tonem.

Mówił zaskakująco wiele, jak na niego, zapewne chciał mnie uspokoić. Jego chłodne zdania były dla mnie niczym ostrza, wbijane prosto w serce.

- Trzeba go będzie zakopać w ogrodzie – podjął po chwili lekko, swobodnie, jakby chodziło o zwykłą rzecz. – Nie musisz się martwić o swoją piastunkę. Za jakiś czas się ocknie i dojdzie do siebie. Tak samo twoja wścibska przyjaciółka. Cieszę się, gdyż nie mam zwyczaju zabijać kobiet... dopóki nie muszę.

Nie miałam żadnej wątpliwości, że zgładziłyby je bez wahania, gdyby tylko uznał, że w jakiś sposób mu zagrażają. Ja także zginęłabym, gdybym próbowała ich bronić. Nasze życie się nie liczyło. Chodziło jedynie o to, by wykonać jak najlepiej zadanie powierzone przez jego przywódców.

Pobiegł szybko do ogrodu i w mgnieniu oka przyniósł przygotowane zapewne wcześniej szmaty i mocne, konopne sznury. Najwidoczniej liczył się z ewentualnością unieszkodliwienia mych niemych służących. Wprawnie zakneblował przytomniejącą powoli Myrrinę, skrepił jej ręce i nogi. To samo uczynił po chwili z wciąż nieruchomą Muti.

Kłęczałam nadal jak skamieniała pośrodku komnaty. Chyba za sprawą czuwającej nade mną bogini lodowaty, orzeźwiający potok przepłynął przez umysł i oczyścił go, podobnie jak zranione głęboko serce. Nie wiedziałam, jednak, co czynić. W jaki sposób ja, delikatna kobieta mogłam się przeciwstawić temu brutalnemu mordercy? Gdyby moi nieszczęśni słudzy widzieli, z jaką łatwością spartański skrytobójca uśmiercił niedawno trzech zbirów, z pewnością nie rzucaliby się nań z bezmyślną desperacją. Ja mogłam się jedynie posłużyć podstępem, bronią istot słabych, lecz obdarzonych urokiem. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że zaprzepaściłam możliwość ratunku. Korzystając z naszego migowego szyfru, mogłam wcześniej wysłać Muti do Hiperejdesa z prośbą o pomoc. Lizydas był wprawdzie niepiśmienny, ale na pewno zacząłby coś podejrzewać, gdybym próbowała przesłać list, lub na przykład sama napisała coś na zewnętrznej ścianie domu, obok wyszydających mnie graffiti, których moi słudzy nie nadążali ścierać... Mogłam jednak okłamać czujnego strażnika, mówiąc, że wysyłam sługę po lekturę na dzisiejszy wieczór. Uwierzyłby, przy całej swej nieufności, skoro niewolnicy liczyli się dla niego nie więcej, niż tresowane psy. Teraz było za późno. Czułam się naprawdę bezradna.

Spojrzałam na stojący w rogu komnaty posążek Wilczego Apolla, jakby szukając u niego pomocy. Wtedy w mej głowie rozległ się głos staruchy Omfale, skrzeczący gderliwie:

- Nic dla niego nie znaczysz, głupia dziewczyno. Jesteś tylko kukielką w jego rękach i wygodną zasłoną. Znowu się zadurzyłaś bez sensu i chciałaś poświęcić na darmo. A ostrzegałam... Myślałaś

może, iż po udanym zamachu uciekniesz z nim jakimś statkiem na Wyspę Miłości? Nic podobnego. Poświęci cię bez wahania, kiedy przestaniesz być mu potrzebna. Wyrzuci cię za burtę na pełnym morzu. Myśl o tym, jak dopłynąć do brzegu. Może znajdzie się jakaś łódź ratunkowa...

Spłynęło na mnie olśnienie. Ujrzałam oczyma duszy stateczki kołyszące się na wodzie... i wiedziałam już, co mam robić. Od tej chwili byłam całkiem spokojna.

Lizydas wyniósł tymczasem zwłoki do ogrodu i zataszczył obie związane kobiety do spiżarki na tyłach domu. Powrócił z suknią Myrriny w dłoniach.

- Nic im nie będzie – odpowiedział na mój pytający wyraz twarzy. – Poleżą do jutra rana, aż je uwolnisz. Ogarnij się trochę – polecił. – Musisz dzisiaj olśnić swych wymuskanych Ateńczyków – zauważył, szczerząc zęby w wilczym uśmiechu. – Podobnie jak Macedończyk też jestem ciekaw, jak wyglądają schyłkowe zabawy zgniłej demokracji...

Wstałam i usiadłam bez słowa przed lustrem. Doprowadziłam do porządku nieco potarganą perukę i zrobiłam sobie lekki makijaż. Natarłam się silnymi pachnidłami, dobrze kryjącymi woń strachu. Suknia przyjaciółki była nieco zbyt obfita, lecz za pomocą szpilek i złotego paska zdołałam ją dopasować do moich kształtów. Zarzuciłam także na głowę lazurowy welon, z nadzieją, że znowu przyniesie mi szczęście.

Lizydas tymczasem założył przygotowany zawczasu strój pustynnego nomada z dalekiej Arabii, osłonił także lacedemońską fryzurę i charakterystyczną bródkę noszonym już wcześniej zawojem. W rękawie szaty ukrył długi, ostry sztylet.

Kiedy przed drzwiami zjawiła się przysłana przez Hiperejdesa nowa lektyka, jeszcze bardziej luksusowa niż poprzednia, przydźwigana przez tegich frygijskich wásaczy, oboje byliśmy gotowi, każde do swego występu.

Po drodze szedł cały czas obok wehikułu i pilnował, żebym z nikim nie rozmawiała. Nie miałam takiego zamiaru. W mej głowie dojrzewał już przemyślny plan. Uważasz mnie za głupiutką, próżną istotę, którą owinąłeś sobie dookoła palca, myślałam mściwie pod adresem mego wspaniałego do wczoraj kochanka. Chociaż jesteś zręczny, silny i bezwzględny w zadawaniu innym bolesnej śmierci, to nie znaczy wcale, że możesz się mierzyć z kobietą mądrością. A raczej przyrodzoną przewrotnością babskiej natury, jakby pewnie rzekł Arystoteles. Więc jestem dla ciebie niczym, Lizydasi?... W takim razie wkrótce będziesz garstką popiołu, a twój zbrodniczy duch zgnije w czeluściach Tartaru. Jeśli nie lękasz się bogów, lękaj się przynajmniej rozgniewanej kobiety. Moja obłąkańcza miłość zamieniła się w równie zajadłą nienawiść. Czułam się zdolna do wielkich, krwawych czynów, jak skrzywdzona i zraniona do głębi serca Medea.

W przedsionku domostwa rzeźbiarza, pełnym schodzących się wytwornych gości i ich fantazyjnie wystrojonych niewolników, wpadłam od razu na Bakchidę, która rzuciła się w me ramiona, ściskając i całując namiętne.

- Nareszcie opuściłaś swą samotnię! – wołała z przesadną emfazą. – Strasznie za tobą tęskniłam! Zresztą nie ja jedna... A któż ci towarzyszy? – spytała, spoglądając z ciekawością na postępującą za mną jak cień tajemniczą postać.

- To mój nowy niewolnik – odparłam spokojnie. – Kupiłam go onegdaj w Pireusie.

- Arab, prawda? – zauważyła niezwykle spostrzegawczo. – Słyszałam, że są wspaniałymi kochankami... – dorzuciła namiętnym szeptem. – Widzę, że chcesz wprowadzić nową modę – skonstatowała, wybuchając pustym śmiechem. – A gdzie Myrrina? – przypomniała sobie nagle. – Miała tutaj przyjść z tobą...

- Pewnie stroi się wciąż przed lustrem – odparłam bez wahania.

Podeszła szczupła Tais. Ucałowała mnie i objęła w milczeniu. Jej poważne skupienie, godne Panny Ateny, było mi bliższe niż bezmyślna paplanina roztrzępanej Bakchis. Mój mroczny cień pozostał gdzieś z tyłu. Objęte ramionami wkroczyłyśmy jak trzy Charyty do sali biesiadnej, a potem do wielkiego, gęsto zarośniętego na obrzeżach ogrodu, w którym oczekiwał nas gospodarz, stojąc obok bezkształtnej płachty, okrywającej jego nowe dzieło. Wydymała się co pewien czas jak żagiel pod wpływem wiejącego tutaj wietrzyka. Spodziewałam się, że zastanę tam Hiperejdesa wraz z jego ulubieńcem i nie zawiodłam się. Po raz pierwszy ujrzałam wtedy Alektosa i musiałam od razu stwierdzić, że mój protektor jak zwykle wykazał dobry gust.

- Rewelacyjny – szepnęłam, muskając ustami pachnący, gładko ogolony policzek byłego kochanka i odpowiadając na nieme zapytanie w jego oczach.

Twarz mu pokraśniała z zadowolenia. Chyba nie wątpił, że zaakceptuję jego wybór. Przedstawił mi główną atrakcję wieczoru. Zgodnie z dobrymi obyczajami, chłopiec powinien być całkiem nagi, lecz przewrotny wielbiciel ustroił go w rozcięty na bokach, kusy chiton barwy karmazynowej, który pięknie kontrastował ze złotobrązową skórą i wspaniale uwydatniał idealne kształty młodzieńczej sylwetki. Nie trzeba było uruchamiać specjalnie wyobraźni, żeby od razu dostrzec, co trzeba. Kto zaś był mało domyślny, mógł sobie obejrzeć całkiem obnażoną postać, wiernie odmalowaną na zalegających stoły wazach i półmiskach z dopiskiem: *kalos* (piękny). Alektos przywitał mnie grzecznie, składając niski ukłon, przypatrując spod oka z ciekawością. Z pewnością wiele o mnie słyszał od starszego wielbiciela. Obdarzyłam go życzliwym uśmiechem. Jesteś dla mnie za młody i zbyt biedny, mój mały, pomyślałam z odrobiną żalu, patrząc w pełne wyrazu, fiołkowe źrenice. Właściwie byłam odeń tylko rok starsza, lecz czułam się już od dawna dojrzałą, doświadczoną kobietą.

Praksyteles, ogarniając mnie krzepkim ramieniem, wyznał, że tak go zachwycił ulubieniec przyjaciela, iż postanowił wyrzeźbić go niezwłocznie jako biegnącego Hermesa. Pochwaliłam zamysł. Zniewalająca uroda tego efeba powinna zostać zachowana na wieki pod postacią uroczego, młodego boga. Bez wątplenia obaj na to zasługiwali: zarówno Hermes, jak i Alektos.

Wróciliśmy do sali biesiadnej i w tej samej chwili nadszedł z przeciwka Demades, prowadząc dwóch cudzoziemców. Nie byli to jednak Macedończycy, na których ciągle czekano. W jednym z nich,

krocącym po lewicy demagoga, rozpoznałam od razu Rzymianina. Miał krótkie włosy, ostrzyżone na wojskową modłę, orli nos i szeroką szczękę, byczy kark, szerokie bary i mocno umięśnione, lecz dosyć krótkie nogi. Odziany był w prosty, długi do kolan chiton z grubego samodziału i szkarłatny płaszcz, spięty pod szyją. Na nogach miał sfatygowane, pokryte zaschlłym błotem, toporne trzewiki. Hiperejdes poinformował mnie szeptem, że zajmuje wśród swoich ważny w republice urząd pretora i zwie się Jaecius Lucius Kommudus. Przybył do Aten, by zasmakować naszej kultury i przyjrzeć się z bliska działaniu demokratycznych instytucji. Mój protektor zasugerował przy tym, by traktować gościa uprzejmie i nie wyśmiewać go zbyt otwarcie. Italowie nie są na razie groźni, skoro w swoim czasie dzicy Galowie spuścili im tęgie lanie, ale lepiej nie rozdrażniać ich bez potrzeby. Kommudus kończył właśnie rozmowę z naszym politykiem, przemawiając niezwykle głośno, jak przystało na przybysza z zabitej deskami prowincji.

- Ależ okropne macie tutaj drogi! Niech to furia porwie! Nasz senat uchwalił niedawno potężne środki na budowę szerokich, wygodnych traktów, aby rzymska armia mogła zawędrować bez przeszkód, dokąd tylko poprowadzą ją wodzowie... Choćby do Galii... – dodał, rechocząc na całe gardło.

Najwidoczniej nie rozumiał, że na naszym półwyspie szerokie, utwardzone gościńce byłyby tylko ułatwieniem dla najeźdźców z ościennego *polis*, nie mówiąc już o Macedończykach. Celowo o to nie dbaliśmy, kiedy zaś chcieliśmy się szybko gdzieś przenieść, wsiadaliśmy po prostu na okręt. Dlatego właśnie królowi Filipowi tak zależało na współdziałaniu ateńskiej floty.

Kiedy Demades podprowadził go do nas, skłonił dziarsko kwadratową, niemal łysą czaszkę, z wyćwiczoną oficerską godnością. Hiperejdesa znał już z wczorajszej uczyty u bankiera Difilosa. Widząc mnie po raz pierwszy, zawiesił na nowej postaci badawcze, pełne ciekawości spojrzenie.

- Czy to prawda – zagadnęłam go zaczepnie – że rzucacie jeńców na pożarcie dzikim bestiom lub każecie walczyć im między sobą na śmierć i życie?

Zaśmiał się znowu gromko, lecz odparł całkiem układnie:

- Widzę, *domina*, że interesują cię obyczaje obcych ludów. No cóż, patrycjusze i trybuni ludowi muszą dbać o popularność, a plebs uwielbia takie igrzyska... Oglądałem wczoraj wspaniały spektakl w Teatrze Dionizosa i jestem do dzisiaj pod wrażeniem, lecz nie sądzę, aby spodobał się w Rzymie... To zbyt trudna sztuka dla nas, prostaczków – dorzucił z oczywistą drwiną.

Spoglądał na mnie bystro, inteligentnie, co świadczyło, że świadomie postanowił grać tutaj rolę gruboskórnego wieśniaka. Z pewnością został przysłany, by podpatrzeć jak podnosimy się z upadku po klęsce pod Cheroneą. Był chyba nieco zdziwiony, skoro rzekomy trup Aten wykazywał wciąż sporo wigoru, a nawet potrafił bawić się wesoło.

Z trudem stłumiłam śmiech, słysząc, że tytułował mnie „panią domu”. Zapewne wziął mnie za żonę gospodarza. Demades szepnął mu coś na ucho, wyprowadzając z błędu. Wtedy przyjrzał mi się raz jeszcze i szeroko uśmiechnął.

- Wybaczcie, zapomniałem, że macie zwyczaj trzymać żony w zamknięciu – rzekł dosyć grubiańsko. – Chyba nie dlatego, że są szpetne... Nasze matrony cieszą się większą swobodą i zaufaniem. Ale cóż,

wasi obywatele wolą po całych dniach biesiadować z heterami lub uganiać się za gładkimi szczeniakami – dorzucił, zerkając wymownie na Alektosa, który zaczerwienił się mimo woli.

- Co kraj, to obyczaj – uciał oschle Hiperejdes, dając do zrozumienia, że uważa tę rozmowę za zakończoną. Chociaż był doświadczonym politykiem, nie potrafił do końca ukryć urazy, jaką mu sprawiła impertynencja źle wychowanego gościa.

- I ja tak sędzę – wtrącił gorliwie, choć trochę bezsensownie Demades, wyczuwając nosem starego wygi dyplomatyczną wpadkę.

Chwycił Rzymianina za łokieć i odciągnął od nas, prowadząc do gospodarza. Drugi przybysz podążył milcząco za nimi. Od początku wydał mi się bardziej interesujący od rzymskiego prowincjusza. Wysoki, szczupły, śniady, odziany w długą, azjatycką, chyba kapłańską szatę smolistej barwy z ognistoczerwonym szlakiem na brzegach, wyszywaną w magiczne symbole. Na szyi i rękach miał sporo amuletów i pierścieni z dziwnymi, nieznanymi w Helladzie emblematami. Szczególna uwagę zwracała, spinająca suknię na piersi, spora złota brosza w kształcie liścia z tajemniczymi inskrypcjami. Jego płaska, szeroka twarz z dołkiem w brodzie i wystającymi skułami na policzkach, lekko skośne, migdałowe źrenice, wysokie czoło, obramowane po obu stronach kruczoczarnymi, spadającymi do ramion prostymi włosami, kogoś mi przypominały... Ależ tak! Tak mógłby wyglądać Tamaris, gdyby dożył tych lat! Swoją drogą, trudno powiedzieć, w jakim wieku był dziwny gość. Gładkie, pozbawione zarostu policzki mogły sprawiać wrażenie, że nie ma jeszcze dwudziestki, z kolei jednak poważne, rozumne wejrzenie i drobne zmarszczki w kącikach oczu oraz wokół ust świadczyły, że dawno przekroczył trzydziestkę. Na pewno nie był jednym z babilońskich eunuchów, o których powiadają, że dłużej zachowują urodę, dlatego tak podobają się wschodnim satrapom. Był mężczyzną w pełnym rozkwicie, który zachował urok młodości, złączony z dojrzałą siłą. Cały czas obserwowałam go kątem oka i stwierdziłam po chwili, że nie był równie piękny jak mój pierwszy kochanek, a rzekome podobieństwo to jedynie mylne wrażenie. To był ktoś całkiem inny, niezwykle, może nawet niebezpieczny... Nie czyniło go to jednak w moich oczach mniej intrygującym. Jakie myśli kłębiły się pod tym szerokim czołem, jakie słowa nie chciały wyjść z lekko zaciśniętych warg? Przysłuchiwał się naszej wymianie zdań z niewzruszoną twarzą i zagadkowym półuśmiechem, błakającym się w kącikach ust. Zdawał się nie zwracać na mnie szczególnej uwagi, byłam jednak gotowa przysiąc, że obserwował mnie równie bacznie. Zagadnęłam o niego wszechwiedzącego przyjaciela.

Chwilę zastanawiał nad odpowiedzią.

- Był także wczoraj na uczcie u bankiera – powiedział w końcu. – O ile dobrze pamiętam, zjawił się razem ze świtą Aleksandra – przypomniał sobie z lekkim zdziwieniem. – W każdym razie trzymał się blisko królewicza. Zdaje się, że nazywa się Apollonios i urodził się w Tyanie...

- Wygląda mi na perskiego szpiega – mruknęłam, pragnąc ukryć ekscytację.

Hiperejdes zaśmiał się lekceważąco. Bezwiednie gładził przy tym muskularne ramię Alektosa, jakby sprawdzał gładkość marmurowego posągu.

- Ach, ta nasza mania... wszędzie teraz widzimy wschodnich agentów i zamachowców. Ten dziwny człek urodził się wprawdzie jako poddany Króla Królów, skoro pochodzi z Kapadocji, lecz z tego, co mi wczoraj powiedział, od wielu lat jest orfickim kapłanem na trackiej Wyspie Tajemnic...

Urwał i natychmiast zapomniał o całej sprawie. Zaczął z cicha gwarzyć z młodym ulubieńcem o znanych tylko im, męskich sprawach. Był prawdziwym helleńskim arystokratą i sam fakt, że ktoś nie miał szczęścia urodzić się wolnym Ateńczykiem, uważał za wystarczająco okropny, dlatego też nie interesował go za bardzo nikt, kto pochodził spoza jego świata. Ja jednak przeczuwałam, że los nieprzypadkowo postawił tego wschodniego maga na mojej drodze. Nie mogło być mylące drgnienie serca, ostrzegające zawsze przed niezwykłymi zdarzeniami i znaczącymi przemianami w moim życiu. Poczułam też przypływ odwagi, chociaż w pobliskim kącie ciał się złowrogi cień, śledzący każdy mój gest i każde słowo. Lizydas starał się wtopić w grupę niewolników, zaciskając ciągle dłoń na rękojeści sztyletu... Tego, rzecz jasna, nie mogłam widzieć, ale wiedziałam, że tak jest. Gdyby dostrzegł w moim zachowaniu coś podejrzanego, z pewnością zginęłabym pierwsza. Nie było sensu podejmować żadnych działań, dopóki nie przybył królewicz. Chciałam coś jeszcze powiedzieć do Hiperejdesa, lecz wszelkie słowa zagłuszył hałas, dochodzący od głównego wejścia.

Następca tronu zjawił się jak na zawołanie. Wkroczył w progi domu rzeźbiarza niczym zwycięski wódz na czele drużyny, przy dźwięku bojowych tręb i wybijających marszowy takt aulosów. Wszyscy mieli na sobie czarne płaszcze macedońskich jeźdźców. Od razu domyśliłam się, że idący obok niego wysoki, uderzająco przystojny młodzian to jego najbliższy druh, Hefajstion. Przerastał księcia o głowę. Wyższy od niego w owej grupie był tylko ogromny, kudłaty Krateros, wzbudzający niechętny respekt wśród miejscowych niedźwiedziową posturą północnego barbarzyńcy. Zabrani w sali biesiadnej zaczęli szeptać między sobą, z satysfakcją komentując fakt, iż Macedończycy zgolili dziś swój młodzieńczy zarost, pragnąc upodobnić się do ludzi cywilizowanych. Właśnie przedłużając się wizytą u golibrody wytłumaczył Aleksander spóźnienie na sympozjon. Sam chyba nie musiał jeszcze korzystać z brzytwy, gdyż policzki pokryte miał delikatnym, złotym puchem, godnym młodego Apolla. W dobrze skrojonym, śnieżnobiałym chitonie, z wyszytym na piersi błyszczącą nicią słońcem, godłem królewskiego rodu, wyglądał istotnie jak ożywiony posążek Promienistego. Śmiał się uroczym, lecz szaroniebieskimi oczami spoglądał na świat zimno i bezlitośnie. Nie wiem, jak odbierali go inni, ja jednak mimowolnie zadrżałam, kiedy mróz lodowatych źrenic przeniknął mnie aż do głębi... Poczułam także coś na kształt współczucia. Słyszałam przecież to i owo o jego dzieciństwie i wczesnej młodości. Biedny chłopiec, pomyślałam. Ojciec nauczył go zabijać, a matka nienawidzić, ale nikt chyba jeszcze nie nauczył go kochać. Nawet jego ulubiony towarzysz nie potrafił chyba przebić się przez niewidoczną barierę, jaką stworzył wokół siebie wspólnie z zamieszkującym jego duszę mrocznym geniuszem, zaszczerpiętym bez wątpienia przez królową Olimpias. Chociaż byłam bezpłodną istotą, wzbudził we mnie nieznany dotychczas poryw niemal macierzyńskiej czułości... Najzabawniejsze, że byliśmy przecież w jednym wieku. Podobnie jednak, jak w przypadku Alektosa, czułam się przy nim jak dorosła kobieta przy nieopierzonym młodziku. Jego chłodny ponad wiek

sposób bycia wywoływał prawdziwy niepokój. Nasi mężczyźni widzą w nim tylko ambitnego młodzieńca, skonstatowałam w duchu, albowiem nie rozumieją, że mają przed sobą nienasyconego demona, który chce władać światem.

Hiperejdes cichym głosem przedstawiał mi po kolei pozostałych Macedończyków. Najstarszym z nich, jedynym, który nie zgolił brody, jako że dawno przekroczył trzydziestkę, był Antypater, mąż poważny i stateczny, o dumnym, władczym spojrzeniu. Przyjaciel informował, że jest on najbardziej zaufanym doradcą króla Filipa i właściwym przewodniczącym delegacji. Monarcha często mianował go namiestnikiem kraju, podczas gdy sam wojował na cudzych ziemiach, a tym razem wyznaczył go na głównego architekta rokowań. Doświadczony wyjadacz spoglądał pobłażliwie na brylującego po ateńskich salonach królewicza, sam ciągle zajęty snuciem politycznych intryg i sojuszy. Tuż obok niego stał jego syn, Kasander, młodzieniec niewiele starszy od następcy tronu. Zdawał się być mniej udaną kopią Hefajstiona, podobnie jak on smukły i ciemnowłosy, zarazem jednak bardziej cherlawy: wąty tułów na chudziutkich, krzywawych nóżkach. Pryszcze na bladej, nieco żółtawej twarzy świadczyły, że zżerają go od środka zawiść i niespełniona ambicja. Jego zielone, jakby węzowe oczy cały czas śledziły z łatwością do wyśledzenia niechęcią królewicza i jego faworyta. Pomyślałam, że chętnie zająłby miejsce któregoś z nich i musi boleśnie odczuwać, że prawie nikt nie zwraca na niego uwagi. Przypominał jadowitą żmiję, gotową zaatakować w najmniej oczekiwanym momencie. Na pewno książę i jego przyjaciel powinni się wystrzegać tego podstępного gada, pomyślałam przelotnie. O Kraterosie już wspomniałam, był to prosty, rubaszny i sympatyczny wojak o imponującej posturze. Mógłby pozować naszemu rzeźbiarzowi do posągu Heraklesa. Praksyteles wołał jednak uwiecznić w marmurze miękką giętkość chłopięcych postaci, boską nonszalancję ich świeżo rozkwitłych ciał, zażywających błogiej bez troski satyrów. Z tyłu trzymali się jeszcze dwaj książęcy druhowie: Filotas, syn ich wielkiego wodza, Parmeniona, jak dla mnie niezbyt interesujący, raczej brzydki chłopak, i zadumany Ptolemeusz z burzą jasnych, naturalnie kręcących się loków nad wysokim czołem myśliciela. Chociaż mocnej budowy, sprawiał wrażenie mola książkowego i mózgowca – Arystoteles na pewno był zadowolony z takiego ucznia. Zauważyłam, że Tais zwróciła na niego szczególną uwagę i powitała najbardziej zalotnym uśmiechem, na jaki było ją stać. Przyjrzał jej się baczniej niż innym i w tej samej chwili jego oczy rozbłysły wesołymi iskierkami. Podali sobie dłonie i trzymali je wzajemnie dłuższą chwilę, ja zaś doszłam do wniosku, że oboje – północny mędek i domorośla sensatka – bardzo do siebie pasują. Natychmiast skojarzyłam w myślach tę parę. Żal było za to patrzeć na głupiutką Bakchidę, która z namiętnie falującą piersią robiła wciąż słodkie oczy na przemian do królewicza albo Hefajstiona, całkowicie ignorujących jej zabiegi. Choć była doświadczoną kokietką, jej śliczna główka nie była w stanie ogarnąć, że nie ma szans u żadnego z nich. Mówiłam już, jakim spojrzeniem Aleksander zmierzył moją osobę, chociaż byłam najsłynniejszą pięknoscią Aten. Nie życzyłamby tego żadnej niewieście. Biedna Bakchis nie chciała tego widzieć ani niczego wiedzieć, przekonana ślepo o swym nieodpartym uroku. Młodsza od niej Myrrina była bardziej bystra w tych sprawach. Gdyby tutaj przyszła, pewnie próbowałaby oświecić przyjaciółkę i rozwiązać jej iluzje.

Niestety, spoczywała akurat spętana i na pół przytomna w komórcie mego domu, a jej nieobecność tego wieczoru nie zwróciła już więcej niczyjej uwagi.

Nawiasem mówiąc, Aleksander prześlizgnął się także dość obojętnym wzrokiem po zgrabnej sylwetce Alektosa, czym nasz ateński piękniś wydawał się mocno zawiedziony, sam bowiem dosłownie pożerał zachłannym spojrzeniem księcia i jego towarzyszy. Sprawiał wrażenie, jakby chciał stać się jednym z nich. Ci chłopcy, niewiele od niego starsi, tyle już dokonali, byli mężnymi wojownikami, podczas gdy on musiał wciąż ćwiczyć w gimnazjonie i wkuwać nudne poezje pod okiem starych pedagogów! Hiperejdes nie traktował chyba nigdy zbyt poważnie młodzieńczych fascynacji swych ulubieńców, toteż nie dał poznać po sobie, jakoby się tym przejmował. W swoim pojęciu zapewne równie dobrze mógłby się zaniepokoić faktem, że najwspanialszy chart z jego psiarni zaczął łaścić się do gościa, merdając ogonem.

Byłabym niesprawiedliwa, gdybym nie zaznaczyła w tej opowieści, że Złoty Bożek, jak go zdążyłam w myślach nazwać, witając się ze mną, odezwał się całkiem przychylnie:

- Twoja była piastunka, stara Omfale, wiele opowiadała o urodzie i giętkim umyśle wychowanicy... Twierdziła, że jesteś niepospolitą kobietą. Istotnie, przypominasz trochę moją matkę, chociaż bez jej wyniosłości. Myślę, że łatwo doszłabyś do porozumienia z królową. Wyczuwam pokrewne natury. Cieszę się, że opowieści tesalskiej więdźmy nie okazały się przesadzone.

- Czuję się zaszczycona tym porównaniem, wasza wysokość – zaszemrałam, mile połączona w swej próżności. Taki komplement w ustach zaprzysięgłego mizogina-maminsynka wiele dla mnie znaczył. Nie wiem, czy usłyszał moją odpowiedź, natychmiast bowiem odwrócił się do Hiperejdesa, jakbym w jednej chwili przestała dlań istnieć.

- Ze smutkiem dowiedziałem się – zaczął – że stojąca na agorze podobizna walecznych kochanków, Harmodiosa i Arystogejtona, zabójców tyrana i zwiastunów swobody, to tylko kopia, gdyż oryginał zrabowali wschodni barbarzyńcy. Z rozkazu przeklętego na wieki Kserksesa ozdabia teraz pałac w Persepolis...

Skonstatowałam tymczasem ze zdumieniem, że spoczęły na mnie wilgotne, lecz emanujące ciepłem źrenice Hefajstiona. Nie spoglądał na mnie z zazdrością ani tym bardziej pożądaniem. Odbierałam raczej fluidy ogromnej ciekawości, jakby oglądał jakieś egzotyczne, nieznane sobie stworzenie. Zapewne w rodzimym kraju, nawet wśród dwórek królowej Olimpias, nie spotkał równie wytwornych i czarujących dam. Spuściłam oczy, udając obojętność, jak nakazywał konwenans, lecz nie potrafiłam ukryć satysfakcji, gdyż wyczułam płynącą od tego atrakcyjnego młodego mężczyzny falę sympatii. Spoglądająca na nas spod oka Bakchis, krzywiła zawistnie usteczka. Powinna była już przyzwyczaić się, że zawsze wygrywam. Mało kto wiedział, że czasami było to dla mnie bardziej męczące, aniżeli przyjemne. Skoro jesz same słodkości, prędko nabawisz się mdłości. Zawsze miałam starannie skrywaną słabość do dziwnych, jakby nieodpowiednich mężczyzn. Zamiast słodczy wolałam ostre przysmaki. Omfale pewnie powiedziałaaby, że na swoje nieszczęście lubię niedobrych chłopców, stanowiących dla mnie wyzwanie. W głębi duszy łudziłam się chyba, że ich w sobie rozkocham

i odmienię. Takiemu złudzeniu uległam chociażby w stosunku do Lizydasa. Gdzież on się podział?... Zniknął mi całkiem z oczu, podobnie jak wschodni mag Apollonios... Hefajstion nie zasługiwał jednak, by nazywać go „złym chłopcem”. Na pewno miał dobry charakter i całym sercem kochał swego boskiego przyjaciela, nie żądając w zamian bogactw ani zaszczytów. Ich miłość zdawała się idealna, gdyż pozbawiona wyrachowania. Nie miałam zamiaru burzyć tego związku, pomna nauk mistrzyni. Czułam jednak, że jeśli miałabym zyskać kiedykolwiek przyjaźń księcia, to tylko zdobywając życzliwość Hefajstiona.

Hiperejdes potwierdził informację o losach posagu. Aleksander rzekł na to protekcyjnym tonem, klepiąc dość nonszalancko polityka po ramieniu:

- Nie martwcie się, Ateńczycy, kiedy tylko pokonamy azjatycką dziec, odeślę wam ową rzeźbę. Na dokładkę być może z ich władcą zakutym w kajdany.

Hiperejdes spojrzał porozumiewawczo na stojących wokół ziomków z miną, która wyrażała pobłażliwą ironię starszego pana wobec naiwnego zarozumiałstwa młokosa. Cóż sobie wyobraża ten syn górskiego wodza, pragnący uchodzić za obrońcę helleńskiej wolności? Ateńczycy wojowali z Persami, kiedy jeszcze o Macedończykach mało kto słyszał. Nikt jeszcze nie zdołał pokonać do końca azjatyckiego Imperium Strachu. Nastąpiła chwila wymownego milczenia. Demades, pragnąc wybrnąć z tej sytuacji, zaczął wyrażać się pochlebnie o wojskowych talentach ojca Aleksandra. Źle trafił, gdyż królewicz zachnął się gwałtownie w odpowiedzi:

- Na wszystkich dwunastu bogów! Nie wspominajcie mi o zwycięstwach króla Macedonii! Jak tak dalej pójdzie, nie zostawi dla mnie skrawka ziemi do podbijania!

Nie uszło chyba nikomu uwagi, że nigdy nie mówił o Filipie „mój ojciec”. Królową Olimpias nazywał jednak swoją matką, żywiąc do niej wyraźnie cieplejsze uczucia.

Demades zamilkł, skonfundowany. Wyratował go z matni gospodarz, proponując nieśmiało:

- Skoro już mowa o posagach, może dostojni goście oceniliby teraz moje najnowsze dzieło?

- Oczywiście! – zgodził się ochoczo, jakby z ulgą, królewicz. – Głównie po to tutaj przyszedłem.

Kiedy wszyscy ruszyli w ślad za rzeźbiarzem i jego honorowym gościem, usłyszałam, jak Hiperejdes mruczy przez zaciśnięte zęby:

- Próżne książątko! Jedna wygrana bitwa i już uznał się za boga wojny!... Cóż za zuchwalstwo!

- Będziecie prawdziwie zdumieni, gdy spełni obietnicę – szepnęłam przekornie. – Szczęście sprzyja zuchwałym.

Spojrzał, niemile zaskoczony i twarz mu spochmurniała. Zaciśnął gniewnie wargi, nie zaszczycając mnie odpowiedzią.

Na znak gospodarza dwaj asystenci ściągnęli skrywającą posąg zastonę. Wśród zebranych rozległo się głośnie, chóralne „Och!”, jak wtedy, gdy Hiperejdes zerwał ze mnie suknię przed areopagiem. Potem nastąpiła długa chwila ciszy, jakby wszystkim obecnym zaparło dech w piersiach.

Afrodyta schodziła właśnie do kąpieli. Suknię lazuruwej barwy, malowaną w rybki i morskie koniki, zarzuciła po drodze na wysoki dzban z wodą, wsparłszy się na nim chwilę lewą ręką. Twarz miała

zwróconą lekko w bok, mieliśmy jednak wrażenie, że spogląda na nas ciepło i łagodnie szafirowymi tęczęwkami, wtopionymi w bładniebieskie szkło źrenic. Złociste, długie rzęsy i symetryczne łuki brwi zrobione były z cieniutkiego drutu. Uczniowie artyści nie zapomnieli także pokryć złotą farbą charakterystycznej dla mnie korony włosów nad czołem i górnych powiek. Usta miały odcień poziomkowy. Cała postać, wykuta z jednej bryły jasnorożowego marmuru, nie potrzebowała więcej ubarwień. Prawą dłonią bogini zakrywała łono, jakby w bezwiednym, uroczym geście wstydlivosti. Była bowiem całkowicie naga.

- Nieprzyzwoitość... – sapnął w końcu mocno stropiony Demades.

- Co za tyłek! – wyrwało się rubasznemu Rzymianinowi.

- To postęp – ocenił poważnie Hiperejdes.

Dzisiejszym ludziom trudno zapewne zrozumieć ową reakcję. Nagość kobieca rozpycha się teraz wszędzie coraz śmielej, zwłaszcza w ilustracjach do specjalnie prenumerowanych magazynów. Zrobiliście w sztuce znacznie większe tabu z męskich atrybutów, co świadczy tylko o waszym niedowartościowaniu. W tamtych czasach było dokładnie odwrotnie: nikogo nie gorszyły nagie wizerunki bogów, lecz postacie kobiet drapowano w obfite, spływające do stóp szaty. Helleni uważali generalnie, znowu odwrotnie niż dzisiaj, ciało kobiece za mniej estetyczne i nie tak harmonijnie zbudowane jak męskie. Dlatego trudno pojąć współczesnemu człowiekowi, jak wielką odwagę musiał mieć artysta, ukazując nagą boginię. To było nie tylko wyzwanie, rzucone społeczeństwu, ale wręcz graniczyło z bluźnierstwem. Słowem: awangarda.

Wszyscy czekali na to, co powie królewicz. Aleksander milczał jednak uporczywie, wlepiając szeroko rozwarte źrenice w posąg. Ocknął się wreszcie, potrząsnął złotymi lokami i wyszeptał:

- To najwspanialsze dzieło, jakie kiedykolwiek widziałem... Szkoda, że nie ma tu z nami Arystotelesa, umiałby ująć w słowa mój zachwyt. Cóż powiesz, mistrzu Apolloniosie? Czy nie jest to przekroczeniem granic dozwolonych w sztuce? – zwrócił się do wschodniego maga, który niespodzianie wyrósł obok niego jak spod ziemi.

- Jakiś chaldejski astrolog miałby nas uczyć gustu? – syknął z niezadowoleniem jeden ze starszych Ateńczyków.

- Nie Chaldeczyk – wziął go w obronę książę – lecz świątobliwy orfik z Samotraki, cieszący się zaufaniem mej matki.

Żaden więcej słuchacz nie ośmielił się zakłócać rozmowy możnych.

- Arcydzieło – orzekł Apollonios cichym, sugestywnie brzmiącym głosem. – Przedziwne połączenie boskiego majestatu i nieokiełznanej zmysłowości. Jej oślepiającej nagości nie wyparłby się nawet Platon, gdyż piękno ciała stanowi odbicie świata wyższych idei...

- Stary Platon i te jego idee! – mruknął z lekkim rozdrażnieniem plebejski demagog, lecz zamilkł, zgromiony spojrzeniami innych.

- Boskość w samej swej najgłębszej istocie, bez której wszechświat nie mógłby dalej istnieć – dokończył kapłan z powagą.

- Jesteś, panie, głębokim znawcą! – ocenił Hiperejdes z prawdziwym respektem. Tamten pochylił głowę z nieodgadzionym uśmiechem.

- A co ty myślisz, piękna damo? – zainteresował się Aleksander, zwracając wprost do mnie. – To przecież twój wizerunek...

Zastanowiłam się chwilę nad ripostą. Książę, podobnie jak nasz artysta, lubił przekraczać konwencjonalne granice, nie było bowiem przyjęte w Atenach pytać kobiety o zdanie w kwestiach sztuki i filozofii.

- Gdyby tutaj na moim miejscu stała sama bogini miłości – odparłam w końcu, spuszczając skromnie oczy i mnąc w zakłopotaniu welon – zapewne by zapytała: „I kiedyż to Praksyteles widział mnie nagą w kąpieli?”

Udało mi się sprawić, że prysnął poważny nastrój. Wokół rozległy się przytłumione chichoty. Uśmiechnął się nawet Aleksander.

- Myślę jednak – podjęłam – że nasz wspaniały artysta nie sięgał wzrokiem w rejony wzbronione śmiertelnikowi, a jednak jego natchnione dłuto... – zawahałam się, tracąc na chwilę wątek.

- Wykuło Afrodytę taką, jaką chciałby ujrzeć Adonis – wybawił mnie błyskotliwie Hiperejdes.

Wokół rozległy się oklaski, widocznie nasze słowa trafiły wszystkim do przekonania bardziej niż mistycyzujące wywody orfickiego kapłana. Większość jakby odetchnęła z ulgą. Sztuka zwyciężyła pruderię moralistów. Aleksander zdawał się wniebowzięty. Nareszcie znalazł się wśród ludzi utalentowanych i kulturalnych, jakże odmiennych od macedońskich wojaków! Na pewno mogli lepiej zrozumieć iskrę bożą, jaką czuł w sobie od dziecka!

- Teraz pojąłem do końca, czemu król Filip nie chciał zniszczyć waszego miasta! – rzekł entuzjastycznie. – Boska poezja i piękno, które tworzycie, są wzorem dla nas wszystkich. Naszym powołaniem jest rozsiewać promienie Słońca Hellady nawet wśród barbarzyńców – dodał rozmarzonym tonem. – Niech się uczą prawdziwej kultury i korzystają z dobrodziejstw zachodniej cywilizacji...

Zmarszczył nagle jasne brwi, jakby coś mu przyszło do głowy.

- Mistrzu Praksytelesie – zwrócił się po chwili w stronę twórcy – czy ktoś już kupił owo dzieło? Chciałbym nim obdarować moją matkę... Wkrótce będą jej urodziny. Król Macedonii woli wprowadzić do Pelli płatnerzy niż artystów – dodał znacząco – lecz chętnie byśmy cię tam gościli, ja i królowa.

Uderzające, że mówił o własnej matce w taki sposób, jakby była jego małżonką. Na pewno nie tylko ja to dostrzegłam.

Zafrasowany rzeźbiarz pokręcił głową.

- Wybacz, książę, lecz jeszcze zanim sięgnąłem po dłuto, zwrócili się do mnie z zamówieniami na posąg Afrodyty mieszkańcy Knidos i Kos. Jeśli jednak żadnemu z tych miast nie starczy odwagi, by postawić w świątyni całkiem obnażoną boginię, wówczas chętnie ją tobie podaruję. Tymczasem moja pracownia może wykonać dla was kopię. Powierzę ją memu najzdolniejszemu uczniowi, Lizypowi –

oznajmił, wskazując jednego z młodych asystentów, stojących skromnie na uboczu. – Myślę zresztą, że twoją dostojną matkę bardziej uradowałby wizerunek syna pod postacią Apolla – stwierdził w przebłysku natchnienia.

Królewicz uśmiechnął się wdzięcznie, słysząc tę propozycję i swoim zwyczajem przechylił głowę na bok, wpatrując się przenikliwie w artystę.

- Jak chciałbyś mnie przedstawić? – spytał bez ogródek.

- Z perskim gryfem u stóp – odparł Praksyteles, dając się ponieść twórczej wyobraźni. – W laurowym wieńcu na skroniach i z lirą w dłoni.

- Z lirą? – przerwał mu książę z lekkim niepokojem. – Wystarczy, że król Macedonii stwierdził niedawno, iż mój śpiew godny jest perskiego haremu i pilnujących go eunuchów! W niczym mnie nie potrafi docenić – dodał, krzywiąc się na wspomnienie doznanej przykrości. – Lepiej będzie, jeśli dasz mi do ręki srebrny łuk – zakończył poważnie.

- Tutaj nie musisz wstydzić się swego pięknego głosu, wasza wysokość – wtrącił przypochlebie Demades, pragnąc zyskać w oczach przyszłego władcy.

- Zaśpiewaj nam, książę, zaśpiewaj! – poparli go inni, w tym również młodzieńcy z jego świty. Najgłośniej wołał Hefajstion.

Książę zarumieniał się urokliwie, wyraźnie zadowolony. Uczynił jednak przeczący gest dłonią.

- Może później – rzekł stanowczo. – Najpierw chciałbym poznać tutejsze talenty – oznajmił dwornie.

- Pora zatem rozpocząć ucztę – stwierdził Hiperejdes.

Przeszliśmy do sali biesiadnej. Kiedy wychodziłam z ogrodu, odniosłam wrażenie, że gałęzie gęstego mirtowego krzewu poruszyły się niezwykajnie... Czyżby tam właśnie czał się w cieniu Lizydas, czekając na sposobną chwilę? Przy całej determinacji był jednak roztropny na tyle, by nie atakować w obecności wielu ludzi, którzy mogliby powstrzymać go przed spełnieniem zbrodniczego zamiaru. Nawet boski potomek będzie musiał w końcu udać się kiedyś w ustronne miejsce z pęcherzem wypełnionym winem... Ze swej kryjówki skrytobójca mógł doskonale widzieć i słyszeć wszystko, co działo się podczas biesiady. Należało ostrzec naszego gościa i gospodarzy, lecz musiałam to uczynić w sposób dyskretny i nie wzbudzający podejrzeń, by uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

Spoczęłam na sofie obok Praksytelesa na jego wyraźne życzenie. Po naszej lewej stronie stało łożo Aleksandra i Hefajstiona, po prawej zaś ułożyli się Hiperejdes i Alektos. Inni porozkładali się, jak komu było wygodniej. Ptolemeusz zachęcił uprzejmym gestem Taide, która przyjęła zaproszenie. Widząc, jak szepczą i śmieją się, stwierdziłam z satysfakcją, że przecucie mnie nie zmyliło. Rzeczywiście, byli jakby stworzeni dla siebie. Biedna, odtrącona Bakchis zajęła miejsce obok swego dawnego klienta, Demadesa, zauważyłam jednak, że zaczęła także posyłać powłóczyście spojrzenia w stronę Kommudusa, który wydawał się całkiem z tego zadowolony. Rzymianin i Kapadocjanin zajęli osobne łoża w przeciwnych końcach sali.

Ponieważ miał to być prawdziwie ateński wieczór, usługiwali nam chłopcy sprowadzeni z najlepszego męskiego burdelu na Wilczym Wzgórzu (Lykabettos). Widok ich smukłych, całkiem nagich ciał,

natartych różnym olejkim z Rodos, trefionych, długich loków z wplecionymi w nie wielobarwnymi kwiatami i gładkich, pokrytych złotym pudrem lic z podmalowanymi na sposób egipski oczyma, radował wzrok i wszelkie inne zmysły. Taki zniewieściały styl upiększania się u któregoś z wolno urodzonych młodzieńców byłby z pewnością źle widziany i bezlitośnie wykpiwany, lecz męskie dziwki funkcjonowały na całkiem innych zasadach. Nie mogło wśród nich zabraknąć w pełni już dojrzałego, kędzierzawego piętnastolatka, Leagrosa, cieszącego się ostatnio ogromnym wzięciem. Nie było chyba w naszym mieście ani jednego wolnego obywatela, który nie zakosztowałby z nim rozkoszy, toteż sława chłopca rosła z dnia na dzień, przekraczając nawet granice Attyki. Kiedy zaczął roznosić wieńce dla gości, wskazano go dyskretnie Aleksandrowi. Uczynił to naturalnie Demades. Księżę ocenił łaskawym okiem czarujące stworzenie, uśmiechnął się z aprobatą, potem jednak odwrócił się do Hefajstiona, powracając do przerwanej rozmowy. Tak, jak podejrzewałam, nikt się dla niego nie liczył poza umiłowanym druhem. Kiedy patrzyli sobie w oczy, istnieli wyłącznie dla siebie, jakby reszta świata przepadła. Niektórzy Ateńczycy, w tym również Alektos, sprawiali wrażenie zawiedzionych ową niecodzienną wiernością.

W Atenach słyszano już to i owo o barbarzyńskich zwyczajach Macedończyków, obawiano się zatem, że księżę zażąda dla siebie i swoich kompanów nie rozcieńzonego wina, którym mogliby spać się do nieprzytomności. Na szczęście postanowił dostosować się we wszystkim do miejscowych obyczajów i zachowywać jak człowiek z naszej sfery. Wprawdzie niektórzy pokpiwali z cicha, zazdrośnie obserwując, jak księżę i jego ukochany piją z jednego kielicha i obgryzają wspólnie kiść winogron, na wszystkich jednak zrobiła korzystne wrażenie naturalna godność, z jaką objawiali młodzieńcze uczucie, godne Achillesa i Patroklesa.

Podano do stołu niemal wszystko, czym mógł się poszczycić targ rybny na agorze. Przede wszystkim doskonale przyprawione tuńczyki i faleryjskie sardynki, ale także wszelkiego rodzaju owoce Morza Szmaragdowego, jak skorupiaki, mięczaki, mątwy i kalmary. Zdaje się, że był to pomysł Hiperejdesa, pragnącego przypomnieć macedońskim gościom, że Ateny nadal pozostają żeglarską potęgą. Wszyscy zajadali się także smakowitymi i bardzo drogimi węgorzami z jeziora Kopais. Kielichy krążyły żywo i chociaż wino było należycie rozcieńzone, prędko zaczęło szumieć w głowach, nawet przyzwyczajonym do mocniejszych trunków cudzoziemcom. Sprzyjała temu również atmosfera beztroskiej, niewymuszonej zabawy. Kiedy skończyliśmy się posilać, niewolnicy wynieśli stoły. Złożyliśmy płynną ofiarę z wina, to jest libację, śpiewając dytyramb na cześć Dionizosa. Mógł się teraz rozpocząć właściwy sympozjon, podczas którego czciliśmy nie tylko upojenie, zsyłane przez Pana Winorośli, ale także natchnienie otrzymane od Apolla i namiętności, jakimi obdarzali nas Eros i Afrodyta.

- Bawmy się poezją! Wstrętne to rzecz: tak beczynn timerzeżwo, jałowo żyć – dał hasło Hiperejdes, cytując znany utwór.

Młody, początkujący poeta zakwilił na początek swój najnowszy epigram:

Słodko jest wonny syrop pszczołek pomieszać z winem,

Słodko, gdy piękny zalotnik czule chłopca uwodzi.

Tak też Aleksis wziął sobie Kleobulosa, kędzierzawe pacholę,

Czyliż nie boski to nektar, zmieszany przez Afrodytę?

Wiersz, choć banalny, spodobał się większości i został nagrodzony brawami. Potem ktoś odśpiewał popularną, lecz zdezaktualizowaną w pewnym stopniu satyrę: *O, Eutiasie, w sandałach sykofanta!*, chyba niezbyt zrozumiałą dla cudzoziemskich gości. Podczas jej wykonywania niektórzy Ateńczycy przypatrywali mi się pilnie, lecz nie dałam nic poznać po sobie i na mej twarzy nie objawił się wyraz satysfakcji. Miałam wrażenie, jakby śmierć donosiciela zdarzyła się w odległej przeszłości i nie dotyczyła mnie w żadnym stopniu. Był to zamknięty rozdział. Gdy przyszła kolej na mnie, uraczyłam zebranych poezją Safony:

Oblana potem, drżąca, zalękniona,

Bledną jak zwiędła, poszarzała trawa

I pewnie zaraz zmięknę w twych ramionach...

Wywołałam powszechny aplauz. Nawet Aleksander ożywił się i rzucił mi słodko pachnącą różę, wyplataną ze swego wieńca. Zaczęto teraz namawiać królewicza, by dał nam próbkę swoich zdolności. Chwilę się wzbraniał nieszczerze, w końcu jednak dał się ubłagać i kazał podać kitarę. Spróbował strun, po czym zaśpiewał starą, lecz znaną wszystkim, pieśń miłosną:

Sokole oczy młodzieńca!

Podniebne ich loty,

Błyszczące w lustrzanej toni,

Lazurowej otchłani młodości,

Z której piję boski nektar, wciąż pragnąc

Głuchego łomotu krwi w żyłach.

Tak nocami, budząc ze snu Ganimeda,

Zachłystywał się nim Gromowładny.

Miał rzeczywiście piękny głos, czysty i donośny. Chłopięco wysoki, jakby jeszcze przed mutacją, lecz zarazem po męsku silny. Śpiewał z uczuciem, wkładając w to całe serce. Spoglądał co pewien czas na

ukochanego, to znów wpatrywał się w siebie tylko znaną dal ponad głowami zebranych. Jego szaroniebieskie oczy nie wydawały się już takie zimne. Pod koniec występu małe łza zabłysła w świetle pochodni jak brylant i stoczyła się po policzku. Wszyscy zdawali się niezwykle poruszeni, a kompani księcia zgotowali mu huczną owację. Widocznie, w przeciwieństwie do starszego pokolenia Macedończyków, nie uważali popisów swego idola za niemęskie. Któż zresztą ośmieliłby się osądzać półboga, pogromcę Świętego Hufca, prawdziwego zwycięzcę spod Cheronei? Antypater, bez względu na to, co myślał o zachowaniu królewicza, robił też dobrą minę do owej gry. Kasander spoglądał na śpiewającego jakby chciał go spopielić wzrokiem. Reszta książęcej świty bawiła się jednak dobrze. Czego nie można było powiedzieć o Kommodusie. Nudził się, a powtarzające się hymny na cześć chłopięcej urody przyjmował z ostentacyjnym niesmakiem. Uczucia żywione do przyjaciela, czy towarzysza broni nie były całkiem obce Rzymianom, lecz nie ceniono ich tak, jak u nas. Byli w końcu ciągle barbarzyńcami, ci zaś zawsze są gotowi potępić albo wyśmiać coś, czego nie rozumieją. Cudzoziemiec ziewał i bekał na przemian, przewalając się na łożu jak rozleniwione byczysko. Demades zauważył to i szepnął coś do Bakchidy. Ta nader chętnie ruszyła krągły zadek i pożeglowała w stronę gościa z piersią wypiętą niczym dziób okrętu. Jaecius zdawał się mile zaskoczony, kiedy położyła się obok niego. Apollonios spoglądał na wszystko z nieporuszoną twarzą, pijąc co pewien czas z kielicha małymi łykami, jakby zależało mu na zachowaniu jasności umysłu.

Po występie Aleksandra uczta zaczęła się nieco rozprzegać. Starzy, wytrwali opoje, którym milsze były kielich wina i ładna śpiewka niż miłosne uściski, zaczęli się spierać co do kolejnej pieśni: jedni zaczęli ryczeć nieskładnym chórem wzniosły hymn na cześć herosa *Nie, tyś nie umarł, drogi Harmodiosie!*, inni woleli popularną w tawernach pijacką piosnkę *Pij, pij w ten dzień szczęśliwy!* Hiperejdes zafrasował się, widząc, że wkrada się nieporządek. Wówczas zaproponowałam:

- Może byśmy zagrali w *kottabos*?

Większość gości, w tym zwłaszcza moje przyjaciółki, radośnie przyklasnęła temu pomysłowi. Macedończycy nadstawili z ciekawością ucha, słysząc nieznaną nazwę. Owa gra była najnowszym krzykiem mody na ateńskich salonach. Polegała na tym, że rzucało się krople wina na pływające po wodzie „stateczki”, czyli małe terakotowe talerzyki. Jeśli udało się zatopić stateczek, uważano to za pomyślną wróżbę. Wygłaszano przy tym imiona ukochanych płci obojga, czynili tak zarówno mężczyźni, jak i hetery. Nagroda dostawała się temu, kto zatopił najwięcej spodków. Mogły nią być jajka, ciastka, sandały, naszyjnik, opaska, czarka albo piłka, najczęściej jednak ta ceniona najbardziej – pocałunek ukochanej osoby. Byłam w tej grze bardzo dobra i nie miałam wątpliwości, że wygram. Często też przyjmowałam rolę sędziego, toteż zażyczyłam sobie, by przyniesiono rylec i woskową tabliczkę. Spełniono me żądanie, a po chwili niewolnicy wnieśli również wielką, płaską wazę, napełnioną wodą po brzegi. Mogliśmy rozpocząć zabawę.

Bakchis podbiegła do wazy, wołając:

- Rzucam to dla ciebie, Kommudusie!

Nie osiągnęła jednak spodziewanego sukcesu i odeszła zawiedziona. Wtedy śmiało podeszła Tais i rzekła dobywającym się z głębi piersi głosem:

- Dla ciebie, Ptolemeuszu...

Jeden ze spodeczków zatonął. Uradowany wybranek uczynił to samo z drugim. Oboje, nie czekając na ostateczny wynik, utonęli w głębokim pocałunku, wywołując radosną wrzawę wśród patrzących. Aleksander wymówił się od udziału w grze, tłumacząc, że nie była mu dotąd znana, a nie chciałby prowokować fatum. Objął ramieniem Hefajstiona i oświadczył z powagą:

- Są uczucia, którymi nie wolno się bawić, by nie urazić bogów.

Usłyszawszy te słowa, pozostali mężczyźni także zaczęli odmawiać, by nie zawstydzić gościa. Ech, ta attycka poprawność, pomyślałam i chlusnęłam na talerzyki z okrzykiem:

- Tobie, piękny Alektośie, poświęcam resztkę wina!

Hiperejdes i jego ulubieniec zrobili zdziwione miny, innym natomiast rozjarzyły się oczy, gdy zwietrzyli nową towarzyską sensację. Wyglądało to tak, jakbym próbowała rozbić związek przyjaciół, kokietując młodzika. Oczywiście ani mi to było w głowie, chciałam tylko odwrócić uwagę gości od tego, co zamierałam uczynić.

Wszystkie stateczki pogrążyły się w toni. Zwyciężyłam i zasłużyłam na główną nagrodę. Zapiisałam coś na woskowej tabliczce i położyłam ją obok wazy. Rozległy się podekscytowane okrzyki:

- Pocałuj ją, Alektośie!

Młodzieniec spojrzał wyczekująco na wielbiciela. Hiperejdes, jak zawsze nienaganny w swych manierach, skinął przyzwalająco głową. Wówczas chłopak wstał z łoża i zbliżywszy się do mnie, objął mocno w pasie. Wycisnął na mych wargach gorący pocałunek. Muszę przyznać, że było to całkiem miłe. Kto go nauczył tak dobrze całować, zastanowiłam się w duchu, czyżby nasz wspólny protektor? Słyszeliśmy wokół szmer pełen uznania. Kiedy oderwał wargi od moich, odgarnęłam mu ze skroni ciemne pukle i szepnęłam wprost do ucha:

- Odczytaj tabliczkę.

Spojrzał ponad moim ramieniem i po chwili krótkiej jak głęboki wdech, który zaczerpnął, poczułam, że zadrżał na całym ciele. Udaając, że notuję wynik, napisałam na niej bowiem: *Chrońcie Aleksandra! Czyha nań śmierć w ogrodzie.*

- Powiedz Hiperejdesowi – szepnęłam jeszcze.

Kiwnął głową i natychmiast wrócił na łoże wielbiciela. Cichym głosem przekazał ostrzeżenie. Hiperejdes zmienił się nieznacznie na twarzy i spojrzał na mnie z wdzięcznością. Potem klasnął w dłonie, nakazując niewolnikom wynieść wazę i wezwać muzykantów. Przywołał przy tej okazji jednego ze swoich zaufanych służących i wydał półgłosem rozkazy. Sługa wyszedł szybkim krokiem na zewnątrz. Wszystko odbyło się w mgnieniu oka, toteż poza nami nikt nie spostrzegł, że dzieje się coś niezwykłego. Chodziło właśnie o to, by nie wywoływać przedwczesnej paniki.

Po chwili zjawili się sprowadzeni niedawno z Syrakuz młodzi, lecz bardzo zdolni wykonawcy, flecistka i kitarzysta. Nim rozpoczęli grę, część gości zaczęła domagać się, by urodziwy Leagros dla

nas zatańczył. Śliczny chłopiec nie dał się długo prosić, licząc na podwójny zarobek. Z pewnością był przygotowany na taką okoliczność, skoro w jego dłoni zaraz pojawił się skórzany fallus. Dzierżąc go w prawicy i przytykając do różnych partii swego ciała, wykonał ucieszny i bardzo sprośny taniec młodego fauna. Sprowokował tym podnieconych gości do bezładnej dyskusji na temat zalet tańca i innych sztuk. Część zaczęła spierać się zażarcie, kto jest większą ozdobą owego sympozjonu: Leagros czy Alektos. Poproszono efeba, by stanął obok tancerza i zaczęto głośno wychwalać zalety ich obu. Wziął chętnie udział w zawodach piękności, w końcu nieraz już mu się to zdarzało w gimnazjonie. Nie czuł się upokorzony, że porównują go z uprawiającym nierząd niewolnikiem. Wiedział, że sympozjony rządziły się własnymi prawami, a podpici artyści nie dbali o społeczne bariery. Demades z wielce lubieżnym uśmiechem zaproponował, by chłopcy zatańczyli razem. Hiperejdes zgodził się bez zastrzeżeń. Młodzieńcy zaszeptali więc między sobą, porozumieli się z muzykami i oznajmili, że wykonają scenę miłosną Apolla z Hiacyntem, włącznie z tragicznym finałem. Był to klasyczny, popisowy występ co zdolniejszych uczniów palestry, cieszący się nieustającą estymą u starszych widzów i pedagogów, którzy przypominali sobie dzięki niemu młode lata.

Po chwili wszyscy, włącznie z rzymskim prostakiem, wpatrzyli się szeroko rozwartymi oczami w niezwykle widowisko. Obaj chłopcy dali w nim pokaz niesamowitego wyczucia rytmu, zręcznych i starannych ruchów, a także pasji i agresywnej dynamiki. Chwilami stawali się jednością, to znów rozdzielali, zastygając w bliźniaczych, posagowych pozach. Wyginali prężne ciała w takt skocznej, wibrującej melodii, raz po raz zmieniając układy na coraz bardziej nasyczone erotyzmem i drapieżnością. Niemal czuło się, że za chwilę pryśnie rozkoszna idylla i poleje się krew z rozciętego dyskiem czoła Hiacynta, którego uosabiał Leagros...

Zanim to nastąpiło, zauważyłam kątem oka dziwne zachowanie gościa honorowego. Aleksander zbladł nagle jak chusta, oczy straciły blask, a jego ciało stężało, jak w przeczuciu nadchodzącego niebezpieczeństwa. Wymamrotał coś jakby:

- Światłość...

Chwycił kurczowo rękę zaniepokojonego Hefajstiona i zerwał się z łoża. Ciągnąc za sobą przyjaciela, zniknął w ciemnościach ogrodu. W pierwszej chwili zauważyłam to tylko ja i Kommudus.

- Co z nim? Zasłabł z wrażenia? – pytał gburowato. – A może poszedł rzygać?

Bakchis nie odpowiedziała, wstydząc się niedyskretnego zachowania nowego klienta. Musiałam działać jak najszybciej. Wyciągnęłam dłoń i ujęłam ramię przyjaciela. Oderwał na chwilę roziskrzony wzrok od popisów ulubieńca i zmartwiał, widząc puste łóżko królewicza. Zaniepokoił się nie na żarty.

- Nie mogę teraz wyjść – szepnął zdenerwowany – byłoby to uznane za nietakt w stosunku do Alektosa. Idź, zobacz, co się tam dzieje i w razie czego wzywaj pomocy.

- Co?... – spytał Praksyteles, mrugając powiekami, jak zbudzony ze snu.

- Nic, nic... – uspokoiłam go. – Dowiem się, jak się czuje książkę.

- Iść z tobą?

- Nie. Zostań.

Wstałam i ogarnięta dojmującym lękiem, kłującym całe ciało lodowymi szpileczkami, lotnym krokiem biegłam do ogrodu...

I stanęłam jak wryta. Aleksander siedział na ziemi, wsparty plecami o postument posągu Afrodyty. Błady, sztywny i zimny, jakby sam był z marmuru. Tylko półprzymknięte powieki drgały nienaturalnie, podobnie jak poruszające się bez udziału woli wargi, z których nie wydobywał się żaden dźwięk. Hefajstion trzymał księcia za rękę, drugą zaś gładził go po głowie i karku, szepcząc ciche słowa otuchy. Kiedy mnie zobaczył, wyplątał nie bez trudu dłoń z kurczowo zaciśniętych palców przyjaciela, podszedł bliżej i chwyciwszy za ramię, odciągnął na bok.

- Nikt nie powinien tego oglądać – szeptał gorączkowo. – Zaraz mu przejdzie. Zdarzyło się już coś takiego po bitwie pod Cheroneą. Aleksander nie wziął wtedy udziału w uczcie, tylko odszedł samotnie do naszego namiotu. Kiedy tam za nim wszedłem, zobaczyłem, że leży na ziemi w takim samym stanie, jak teraz. Bardzo się wystraszyłem, myślałem, że umiera. Klęknąłem przy nim, chwyciłem jego dłoń, spojrzałem w gwiazdy, przebłyskujące przez otwór w dachu namiotu i zacząłem błagać o pomoc Nieśmiertelnych: „Bogowie! – szeptałem – Jeśli coś dla was obaj znaczymy, jeśli ludzka miłość ma jakiegokolwiek sens, przywróćcie go do życia. Skoro teraz odejdzie z tego świata, ja podążę za nim. Wiedźcie jednak, że wyrzeknę się i przeklnę was, choćbym nawet miał znaleźć się na samym dnie Tartaru”. Nie wiem, który bóg wysłuchał mej prośby, lecz Aleksander po chwili zbudził się z letargu. „Co ci się stało? – pytałem, ciesząc się jak dziecko. – Zemdlałeś?” „Nie – odpowiedział spokojnie. – Rozmawiałem z mym boskim rodzicem”...

- Trzeba go stąd zabrać – przerwałam niecierpliwie potok zwierzeń. – Tutaj grozi mu...

- Mówiłem ci, że nikt nie powinien... – zaczął się ze mną spierać.

W tej samej chwili ujrzałam ponad ramieniem Hefajstiona wyraźnie rysujący się na ścianie okalającej ogród cień człowieka zamierzającego się nożem... Wrzasnęłam, jak chyba nigdy w życiu. W tym samym momencie Aleksander otworzył oczy i spojrzał całkiem przytomnie. Skryty za cokołem Lizydas zaatakował z góry dobrze wymierzonym ciosem. Cienkie ostrze miało przejść obok kości obojczykowej i trafić prosto w serce. Tym razem jednak skrytobójca nie miał do czynienia ze zwykłym najemnikiem, czy niezdarnym sługą. Królewicz błyskawicznie uniósł lewą rękę i łokciem zablokował przedramię napastnika. Ostrze sztyletu zaledwie rozcięło skórę. Hefajstion skoczył jak lampart i obalił wroga. Chociaż Lizydas wywijał się zręcznie, jak piskorz, silny druh księcia zdołał kolanem przygwoździć do ziemi jego prawicę i wytrącić oręż. W tej samej chwili z płaskiego dachu domostwa zeskoczyli dwaj potężnie zbudowani, dobrze uzbrojeni strażnicy Hiperejdesa. Przejęli skrytobójcę z rąk Hefajstiona, dźwignęli jak piórko, zadali mu ciosy w głowę i brzuch, po czym wykręcili ręce do tyłu i wprawnie skrępowali rzemieniem. Zamachowiec przestał się w końcu szarpać i głowa mu zwisała bezwładnie.

Nastała chwila ciszy, w której słychać było jedynie przyspieszone oddechy i skwierczenie wonności, płonących w licznie rozstawionych trójnogach. Cały świat, zdawało się, zastygł w pełnym grozy oczekiwaniu. Bogini patrzyła na nas z piedestału z chłodną aprobatą...

Kiedy się ocknęłam z osłupienia, usłyszałam za plecami gwar wielu głosów. Goście i gospodarze tłoczyli się w drzwiach ogrodowych.

- Oto, jak można liczyć na wierność Ateńczyków! – zagrział Antypater nieprzyjaznym, wyniosłym tonem.

- To na pewno Pers! – krzyczał rozjuszony Demades. – Ohydny akt wschodniego terroru! Chcieli zerwać nasz sojusz!

Hiperejdes wyminął mnie i podszedł zdecydowanym krokiem do schwytanego zamachowca. Zerwał mu z głowy zawój, rozluźniony w trakcie szarpaniny. Wszyscy mogli ujrzeć w rozchwianym świetle pochodni długie, kunsztownie splecione warkocze i krótką czarną bródkę. A także wściekle oczy schwytanego w potrzask wilka.

- Nie jest poddanym Wielkiego Króla – oznajmił gromko. – Wysłała go krypteja.

- Spartanin! – wrzasnęło wiele głosów.

- Na pewno za perskie złoto... – upierał się dalej demagog.

- Posłużyli się odwiecznymi wrogami Aten – przytaknął mu Hiperejdes. – Pragnęli nas poróżnić. Gdyby zamach się powiódł, plama tego zabójstwa przylgnęłaby do nas na wieki.

- Wierzę wam – oświadczył krótko przewodniczący delegacji.

- Jak się czujesz, książę? – spytał z troską mój protektor. – Czy ten nędznik cię zranił?

Aleksander stanął tymczasem na nogi przy niewielkiej pomocy przyjaciela. Odruchowo odgarnął włosy z czoła pokrytego kroplami potu i poprawił trochę przybrudzony chiton. Na lewym ramieniu wykwitła niewielka, szkarłatna plamka. Wyglądał, jakby szybko dochodził do siebie.

- Nic mi nie jest – odpowiedział spokojnie. – Zwykłe draśnięcie, jeśli sztylet nie był zatruty.

- To nie w stylu Lacedemończyków – odparł poważnie Hiperejdes.

- Przykro mi, że stało się to w moim domu – mamrotał zawstydzony Praksyteles, cisnąc się do księcia wraz z jego świtą, która otoczyła go tymczasem szczelnym kordonem. Tylko Kasander stał obok swego ojca, z trudem kryjąc zawód pod złośliwym uśmiechem. Chyba wolałby ujrzeć swego pana dławiącego się własną krwią niż całego i zdrowego.

- Jestem pewien, że nie miałeś z tym nic wspólnego – uspokoił królewicz rzeźbiarza. – To mojra spartańskiego zabójcy sprowadziła go do twojego ogrodu.

- Ja go tu sprowadziłam – przerwałam odważnie mężczyznom.

Spojrzeli na mnie ze zdumieniem. Czekali, co powiem dalej.

- Jakiś czas temu uratował mnie przed napaścią Eutiasa i jego najemnych zbirów – zaczęłam wyjaśniać przerywanym ze wzruszenia głosem. – Potem ukrył się w moim domu...

- Na pewno cię zastraszył – przyszedł mi w sukurs dawny kochanek.

- Tak... – szepnęłam i rzuciłam się, łkając, na pierś protektora, jakby był ostatnią deską ratunku. Łzy były prawdziwe. Sama nie wiedziałam, czy płaczę z ulgi, czy też z żalu za utraconym złudzeniem miłości.

- Nie możemy winić słabej, bezbronnej kobiety – rzekł z naciskiem Hiperejdes, tuląc mnie jak przerażone dziecko. – Wiedziecie, że podczas uczty zdołała mnie ostrzec. Dlatego wydałem strażnikom odpowiednie polecenia. Jej przeraźliwy krzyk sprowadził pomoc i wstrzymał nożyce nielitościwej Parki...

- Mogłeś mi powiedzieć wcześniej – syknął z wyrzutem Demades. Był niezadowolony, że cały splendor spływał właśnie na politycznego rywala i jego przyjaciółkę.

- Nie było po temu okazji – odparł mój opiekun, wzruszając ramionami.

- Winien ci jestem wdzięczność, pani – rzekł przyjaźnie Aleksander. – Uratowałaś mi życie. Pragnę cię zaprosić do Pelli. Moja matka na pewno zechce ci się odwdziżyć.

- Będę szczęśliwa, wasza wysokość – wybełkotałam półprzytomnie i dosyć bezsensownie. Z trudem nadążałam za tak błyskawicznymi obrotami Koła Przeznaczenia.

- Co zamierzacie zrobić z tym łotrem? – zainteresował się Antypater.

- Trzeba go natychmiast oddać w ręce Jedenastu – oznajmił Hiperejdes. – Skoro jest cudzoziemcem, można go wydać na tortury...

- Spartańskie ścierwo! – wrzasnął wściekle Demades, przyskakując do więźnia i szarpiąc go za włosy. Lizydas przyjął to z kamienną twarzą. – Dowiemy się, kto cię nasłał!

- Więcej godności, obywatelu – upomniął go Hiperejdes. – Prowadźcie go do więzienia – polecił strażnikom.

- Wstrzymajcie się jeszcze chwilę – zaoponował Antypater. – Chcę wiedzieć, ze względu na mego króla, jaka czeka go kara? Łagodny kielich demokratycznej cykuty? – spytał z oczywistą drwiną. – Jeśli tak, lepiej byłoby, gdybyście wydali go w nasze ręce.

- Nie ma takiej potrzeby – sprzeciwił się Demades. – Dla najgorszych złoczyńców mamy specjalną kaźń – poinformował z satysfakcją. – Na wzgórzu poza miastem, w pobliżu Długiego Muru, stoi pręgierz, do którego przykuwa się zbrodniarza pięcioma klamrami. Kona tam w mękach trzy dni i trzy noce, bez wody i pożywienia, wystawiony na słoneczny skwar i zabójczy chłód księżycowych promieni, urągania i kamienie gawiedzi, chmury dokuczliwych insektów. Potem rzuca się go jak psie padło do dawnego kamieniołomu na zachód od Akropolu...

- Jakże nisko upadli ci, co jeszcze do niedawna uważali się za rasę panów, przeznaczoną do władania Helladą – mruknął pod nosem Hiperejdes z mimowolnym smutkiem.

- Odpowiednia egzekucja – ocenił z aprobatą najstarszy delegat. – Przedłużymy nasz pobyt w Atenach, żeby być jej świadkami i opowiedzieć o wszystkim królowi.

- Nie czyńcie tego – rozległ się nagle cichy, ale stanowczy głos.

Wszyscy spojrzeli w stronę skąd dochodził. Z ciemnej głębi ogrodu wynurzyła się smukła sylwetka orfickiego kapłana. Antypater uniósł brwi ze zdumieniem.

- Czemu się wtrącasz, wróżbito? – zapytał niechętnie. – To nie twoja sprawa. Skoro nie potrafiłeś przepowiedzieć zamachu, lepiej przeklnij czarną duszę skazańca, który chciał zamordować twojego pana...

- To wielki mędrzec – przerwał mu ostro Aleksander. – Za młodu pobierał nauki u indyjskich braminów, babilońskich magów i egipskich kapłanów. Wiele wie o wschodnich krainach i posłuży nam w Azji za przewodnika. Wysłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Wszyscy, mniej lub bardziej chętnie, skupili się na słowach kapłana.

- Nie wyczuwałem niebezpieczeństwa – tłumaczył Apollonios łagodnym tonem. – Naszego księcia chroni moc znacznie potężniejsza od mojej – dorzucił skromnie. – W istocie nic mu nie groziło. Udaremniony zamach powinien skonsolidować siły Aten i Macedonii w wielkim dziele zniszczenia wschodniej tyranii ciemnoty i fanatyzmu – klarował dalej śpiewnie, jakby chcąc uwieść słuchaczy. – Europa musi pokonać Azję, inaczej sama zginie, wyczerpując siły w bratobójczych wojnach. Ujawnienie jednak tego, co się tu wydarzyło, nie przysłuży się wam, lecz stanie raczej pożywką dla waszych wrogów. Skoro w innych krajach dowiedzą się, że niemal do samego serca Aten mógł zakraść się spartański skrytobójca, bo tak mu nakazała opłacona przez Persów wyrocznia...

Skąd o tym wie? – przemknęło mi przez głowę. Tajemniczy kapłan okazywał się coraz bardziej interesujący. Katem oka spostrzegłam, że Lizydas drgnął na całym ciele, zaraz jednak powrócił do niewzruszonej postawy.

- Masz rację – stwierdził z namysłem Hiperejdes, który jako pierwszy zrozumiał o co chodzi cudzoziemcowi. – Nawet gdybyśmy przykładowie ukarali zbrodniarza i tak zostalibyśmy skompromitowani.

- My także – skonstatował Antypater – ponieważ omal nie zabił księcia dosłownie pod naszym bokiem.

- Co więc proponujesz, mistrzu Apolloniosie? – spytał zaintrygowany Aleksander, który zresztą sprawiał wrażenie, jakby domyślał się już odpowiedzi.

- Zdać się na wyrok bogów – odparł z prostotą mag. – Niechaj wszyscy tu obecni przysięgną na zemstę Podziemi, że nigdy nikomu nie wyjawią, co tutaj zaszło. Potem dajcie Spartaninowi miecz do ręki, by mógł walczyć o życie z jednym z was. Przynajmniej zginie z honorem.

- A jeśli pokona przeciwnika? – spytał Demades, marszcząc brwi.

- Niechaj odejdzie wolny – odrzekł z niezmaconym spokojem. – Nie może wrócić do swoich, skoro nie wykonał zadania. Stanie się powszechnie pogardzanym wyrzutkiem. I tak pewnie rzuci się z najbliższej skały.

- To prawda? – upewniał się demagog, wpatrując natarczywie w więźnia. – Tak zrobisz, Spartaninie? Jeniec skinął w milczeniu głową.

- A zatem zgadzam się w imieniu ludu Attyki – stwierdził z godnością Demades. – Ty także, Hiperejdesie? I inni, tu obecni obywatele?

- Niech tak będzie! – odkrzyknęli chórem.

- Wy, cudzoziemscy goście? – kontynuował wypytywanie polityk.

Macedończycy odpowiedzieli zgodnym pomrukiem.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia – zauważył Hiperejdes. – Kto stanie do walki w naszym imieniu?

- Ja go pokonam! – oświadczył dumnie Aleksander. – I każę odesłać ucięte dłonie jego mocodawcom!

- Pozostaw to innym, książę – doradził mu Apollonios słodkim tonem, jakby przemawiał do niesforne go dzieciaka. – Nie powinienes wyzywać losu dwukrotnie tego samego dnia. Mógłbyś rozgniewać bogów niepotrzebną brawurą.

Reszta Macedończyków poparła kapłana, wyrывая się jeden przed drugiego z chęcią poskromienia wroga. W tej chwili wzniósł się ponad ten gwar wysoki, wibrujący krzyk:

- Nie!!!

Umilkli, zaskoczeni. I spojrzeli na Alektosa, który wyszedł na środek okręgu, utworzonego samoistnie wokół pojmanego. Młodzik wspaniale wyglądał, rozgrzany niedawnym tańcem. Oczy płonęły bojowym zapalem. Skłonił się głęboko wszystkim i przemówił nieco drżącym głosem:

- Czcigodni obywatele ateńscy i wy, dostojni goście, pozwólcie, żebym ja bronił honoru domu i całej Hellady.

Niektórzy zaśmiali się na to oświadczenie, większości jednak spodobała się odwaga młodzika.

- Jesteś pewien? – spytał go zduszonym szeptem Hiperejdes, nie objawiając jednak zaniepokojenia decyzją ulubieńca. Męski honor był zresztą ważniejszy niż życie któregoś z nich.

- Jak nigdy w życiu! – odparł młodzieniec, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Co wy na to, Macedończycy? – upewnił się jeszcze mój protektor.

Tamci spojrzeli po sobie z wahaniem. Naradzali się chwilę szeptem, wreszcie odezwał się Antypater:

- Niech wasz chłopak pokaże, co umie. Jeśli zginie, na pewno go pomścimy, skoro walczy także w naszym imieniu.

- Więc niech tak będzie – zgodził się mężczyzna i polecił sługom: - Przynieście miecze i napierśniki.

- Walka, wspaniale! – ucieszył się głośno Rzymianin, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co się szykuje. – Nareszcie prawdziwa zabawa!

Wpatrywałam się uporczywie w Spartanina, lecz nie zaszczycił mnie nawet jednym spojrzeniem. Działy się teraz męskie sprawy, więc znalazłam się poza nawiasem. Nie zwalniało to jednak mnie ani moich trochę wystraszonych przyjaciółek od złożenia przysięgi na Hekate, Hades i Persefonę, że dotrzemy tajemnicy. Dziwisz się więc pewnie, Konstanty, że bez obawy teraz wszystko opowiadam? Bądź spokojny. Apollonios i Nieśmiertelni dawno mnie już z niej zwolnili.

Lizydas bez oporu pozwolił się odrzeć z arabskiego burnusa i pozostał tylko w skórzanej, bojowej spódnicy. Obu przeciwników natarto oliwą. Kiedy Spartaninowi chciano założyć pancerz, stanowczo zaprotestował:

- Zachowajcie to dla siebie. Nasi wojownicy stają nadzy do walki, gdy Śmierć jest ich ostatnią kochanką.

- Nie ma co się tak puszyć, młody człowieku – rzekł na to Hiperejdes. – W tym, co chciałeś dzisiaj uczynić, nie było niczego heroicznego.

Spartanin nie odpowiedział.

W tej sytuacji Alektos również postanowił pozostać bez osłony. Na polecenie gospodarza Leagros przyniósł dwa pełne kielichy dla uczestników pojedynku, jak nakazywał pradawny obyczaj. Lizydas jednak nie znał widać zbyt dobrze miejscowych zwyczajów i chyba podejrzewał, że podano mu w winie słynną ateńską cykutę. Wychylił zawartość pucharu jednym haustem, potem ulał parę kropel na ziemię i rzekł ironicznie:

- Niech to będzie dla pięknego Aleksandra!

Splunął księciu pod nogi i zwrócił się do zebranych:

- Wiedźcie, iż ocaliliście dzisiaj demona, który cały świat pogrąży w ogniu i zniszczy was wszystkich. Aleksander nawet nie drgnął. Przyjął zniewagę bez emocji, jak prawdziwy Złoty Bożek. Odpowiadanie na obelgi śmiertelnika było poniżej jego godności. Podobnie zachował się stojący obok Apollonios. W orszaku księcia odezwały się jednak groźne, wrogie pomruki. Gdyby nie wzgląd na gospodarzy, pewnie rzuciliby się natychmiast na więźnia i rozsiekali na kawałki. Hefajstion chyba pożałował w tej chwili, że nie dość uporczywie domagał się, iżby to on mógł pomścić napaść na umiłowanego. Pewnie pocieszał się w duchu, że stanie do walki jako drugi, gdyby chęlny ateński efeb nie sprostął spartańskiemu kryptei.

Wszyscy mężczyźni, nawet Lizydas, wydawali się w ogóle niezmiernie podnieceni i zadowoleni. Oczy im się jarzyły, a nozdrza rozdymały jak u polujących drapieżników. Oprócz uprawiania miłości ich główną rozrywką była przecież gra w zabijanie. Chyba nawet milsza sercu niż erotyczne igraszki. A przynajmniej równorzędna.

Dwaj niemal nadzy młodzieńcy rozpoczęli bojowy tan. Przez jakiś czas obchodzili się wzajemnie dookoła, spoglądając czujnie i pozorując ataki. Była to klasyczna gra wstępna przed ostatecznym zwarciem. Kto w nim zwycięży, zastanawiałam się, zwinny, szczupły Spartanin, czy pełen posagowej gracji Ateńczyk? Obserwowałam walkę z daleka, stojąc wraz z przyjaciółkami na niewielkim wzniesieniu. Trzymałam dłoń na sercu, próbując zapanować na targającymi nim emocjami. Rozum podpowiadał mi, by życzyć zwycięstwa efebowi, lecz gdzieś w głębi duszy łudziłam się ciągle, że Lizydas wygra ten pojedynek i przedłuży tym samym swą ziemską egzystencję. Chociaż mnie zwiódł i skrzywdził, zachowałam jeszcze dla niego część uczucia. Biedne, kobiece serce! Pewnie dlatego musimy być ofiarami męskich żądz i wiecznymi męczennicami.

Rozpoczęła się szybka wymiana ciosów. Walczący chłopcy dali pokaz zręcznych ruchów, a także pasji i agresywnej dynamiki. Chwilami ścierali się blisko, krzesząc skry krawędziami kling, to znów rozdzielali, zastygając w bliźniaczych, dramatycznych postawach. To był także taniec, lecz stawką w owej grze była śmierć jednego z nich. Prędko okazało się jednak, że agent kryptei nie ma szans z uczniem najlepszych ateńskich szermierzy. Nie pomogły mu skoczność ani zręczność, z jaką zadawał ciosy i robił uniki. Nie zdołał się przebić przez obronę Alektosa. Atakował bez przerwy,

wydając dzikie, urywane skowyty atakującego wilka. Owa wilcza zjadłość była jednak bezsilna wobec chłodnej precyzji człowieka cywilizowanego. Efeb bawił się chwilę z wrogiem, wreszcie chyba mu się to znudziło, gdyż przystąpił do kontrataku. Celnym cięciem pozbawił zaciśniętą na rękojeści prawicę Lizydas trzech palców, zmuszając go tym samym, by przerzucił miecz do lewej dłoni. Tym sposobem osłabił jego obronę i wartość bojową. Dalej poszło wszystko szybko i sprawnie. Alektos rozorał głęboko udo Spartanina blisko pachwiny. Następnie szerokim zamachem zahaczył ścięgną podkolanową, zmuszając przeciwnika do przykłąku. Trzeci cios przeciął aortę szyjną, z której trysnęła potężna szkarłatna struga, zalewając pierś ateńskiego młodzika. Jego chiton nasiąkł wilgocią, lecz barwa ciemnego wina dobrze ją maskowała. Lizydas upadł na twarz, krztusząc się własną krwią. Walka była skończona.

Właściwie nie był to pojedynek, lecz starannie przeprowadzona egzekucja. Gospodarze i goście wznieśli potężny okrzyk radości. Aleksander uściskał efeba i ucałował w oba policzki, po czym rzekł donośnie:

- Z takim chłopakami można świat zawojować! Szkoda, że nie jesteś Macedończykiem, byłbyś ozdobą mojej drużyny.

- Także tego żałuję – odpowiedział szczerze Alektos, wpatrując się w księcia roziskrzonymi oczyma.

- Wkrótce przecież razem wyruszymy na wojnę ze wspólnym wrogiem – stwierdził książę znacząco. – Noś to tymczasem na pamiątkę swego triumfu i przypomnij mi się we właściwym momencie.

Zdjął z palca złoty sygnet z macedońskim lwem w otoku i wręczył młodzikowi. Ten odruchowo przykłąknął na jedno kolana, odbierając dar. Zauważyłam, że Hiperejdes skrzywił się z niezadowoleniem. Nie spodobało mu się zapewne, że przyszły obrońca demokracji złożył niechcący hołd cudzoziemskiemu księciu, nawet jeśli sytuacja prowokowała do tego.

Chwilę potem rozradowani mężczyźni porwali zwycięzcę na ramiona i zanieśli do głównej sali, by celebrować wygraną. Moje przyjaciółki pobiegły za nimi jak dwie samiczki za stadem.

Wszyscy w Atenach kochali Alektosa, nawet jeśli trochę mu zazdrościli. Przeczuałam, że teraz będą kochać go jeszcze bardziej, nawet jeśli klęczał przed obcym władcą.

W ogrodzie pozostałam tylko ja i mój kilkunastodniowy kochanek, który właśnie wykrwawiał się u stóp mej marmurowej podobizny. Tarzał się w wielkiej, powoli wsiąkającej w ziemię kałuży własnej posoki i konał w okropnych drgawkach. Odwróciłam oczy. Ten pokurczony, zdeformowany kształt nie miał już ze mną nic wspólnego. Pryśła kolejna iluzja. Heterom nie wolno kochać, powtarzałam w myślach przykazanie mistrzyni. Chciałam podążyć za resztą towarzystwa, lecz wtedy właśnie napotkałam wzrokiem migdałowe źrenice orfickiego kapłana, spoglądające na mnie badawczo.

- Dobrze się czujesz, pani? – zapytał z troską. – Może podać ci lek orzeźwiający?

- Dziękuję, gorzej bywało – odparłam z nutką attyckiej przekory. – Jedyne, czego potrzebuję, to męskiego ramienia. Inni o mnie zapomnieli, skoro mają nowego idola – dodałam trochę rozgoryczonym tonem.

- Zatem służę – powiedział z dziwnym uśmieszkiem i podał mi rękę. Kiedy uwiesiłam się u jego ramienia, okazało się twarde jak z metalu. – Powinnaś wrócić między ludzi i jak najszybciej zapomnieć o źle ulokowanym uczuciu – zaczął szeptać mi do ucha poufałym tonem, jakbyśmy znali się od dawna.

- Co wiesz o moich uczuciach? – odparowałam rozdrażniona.

Poczułam się, jakby ktoś sięgnął w głąb mego serca i rozgrzebywał jego tajniki, nie pytając o zgodę.

- Jesteś pod szczególną opieką potężnych bóstw – stwierdził zagadkowo.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Kim jest ten dziwny orfik? Musi mieć wielką moc... Nic dziwnego, że królowa Olimpias tak go poważa.

- Tak? A czym sobie na nią zasłużyłam? – zapytałam celowo kapryśnym tonem, jakby pragnąc obrócić wszystko w żart.

- Powiedzmy, że urodziłaś się w odpowiednim czasie i miejscu – oznajmił. – W dodatku jesteś piękna, a każde piękno warto chronić dla świata. Bogowie, którym służę, chcą, abyś była bezpieczna. Zawsze możesz liczyć na moją pomoc – zapewnił z absolutną powagą. – Wezwij mnie, kiedy tylko poczujesz się zagrożona.

- W jaki sposób? – spytałam zdumiona.

Dopiero teraz się uśmiechnął. Nagle pochylił się, przymrużył przebiegle oko i zaskrzeczał głosem ubogiego przekupnia:

- Nie stracisz na tym, szlachetna pani, zapewniam cię. Ten idol przyniesie ci szczęście i dobrobyt...

Zmartwiałam. A więc to on wcisnął mi posążek Wilczego Apolla, zyskując w ten sposób wiedzę o wszystkim, co działo się w moim domu... W pierwszej chwili chciałam wybuchnąć gniewem, lecz zaraz pomyślałam, że na pewno nie uczynił tego w złej intencji. Chciał mnie chronić i pragnął mego dobra, czymkolwiek by ono nie było. Był Głosem Bogów, zwiastunem mojej moiry. Musiałam to uszanować.

- Jak...?

- Wystarczy, że dotkniesz figurki i pomyślisz o mnie. Zjawię się natychmiast duchem, a w razie potrzeby również ciałem. Nie nadużywaj jednak tego sposobu, bo możesz rozgniewać bogów... Traktuj go jak ostateczność w chwili największego niebezpieczeństwa.

Puściłam jego ramię i cofnęłam się o krok.

- Kim ty jesteś? – zapytałam, przejęta nagłym lękiem.

- Kimś, kto dobrze ci życzy – odpowiedział z prostotą. – Nie bój się, nie pragnę twojej zguby. Wręcz przeciwnie, mogę spełnić wiele twoich pragnień, nawet takich, o których nie śmiałaś dotąd marzyć. Dowiesz się więcej, gdy spotkamy się niezadługo w Dodonie.

Byłam zdziwiona, że wymienił nazwę stolicy królestwa Epiru zamiast stolicy Macedonii.

- Jak to: w Dodonie? Chyba w Pelli? – spytałam, pomna zaproszenia królewicza.

- Nie, jednak w Dodonie – potwierdził z enigmatycznym uśmiechem. – A teraz wybacz. Pozostaw mnie samego i wracaj do przyjaciół. Muszę spić boski nektar...

Stałam już na progu rozjarzonej sali, podczas gdy on pozostał w półmroku żarzących się trójnogów. Czy była to tylko gra światła i cieni, że jego oczy zapłonęły rubinowym ogniem, kiedy pochylił się nad dogorywającym Spartaninem? Czy, kiedy się odwróciłam, usłyszałam, jakby ktoś chleptał świeżą, wciąż jeszcze ciepłą krew? Wołałam tego nie wiedzieć... Szybko przekroczyłam próg i wróciłam do świata ludzi.



Witold Jabłoński Urodził się w 1957r. w Łodzi. W 1981r. ukończył filologię polską na UŁ. W latach 81-82 pracował jako sekretarz J. Andrzejewskiego. Przez kolejne dwa lata pracował w Domu Teatru ŁDK i Teatrze Nowym. W latach 85-91 był redaktorem merytorycznym Wydawnictwa Łódzkiego. 95-97 był recenzentem teatralnym w "Gazecie Wyborczej", redagował również tygodnik kulturalny "Verte". W latach 99-03 pełnił funkcję dyrektora Śródmiejskiego Forum Kultury. Obecnie zajmuje się powieściopisarstwem. Jego najbardziej znanym dziełem jest cykl "Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer". W tej chwili promuje nową powieść „FRYNE HETERA.”

Od 2005 roku honorowy członek Stowarzyszenia Miłośników ERpegów i Fantastyki z Łodzi (www.smerf.fero.pl)

